



## Mirosław Derecki

### DOKĄD ZMIERZA POLSKIE KINO?

Werdykt jury tegorocznego XII Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych był wyjątkowo trafny i - jak rzadko kiedy - zebrana w sali Teatru Muzycznego w Gdyni publiczność nagrodziła go naprawdę szczerymi, gorącymi oklaskami. Grand Prix „Złote Lwy Gdańskie”, przyznano „Matce Królów” Janusza Zaorskiego. Nagrodę Specjalną jury - „Magnatowi” Filipa Bajona. „Srebrne Lwy Gdańskie” podzielano - znowu słusznie! - pomiędzy aż pięć filmów. Otrzymali je - Krzysztof Gruber za reżyserię telewizyjnej „Sali nr 6”, Marek Koterski za „Życie wewnętrzne”, Waldemar Dziki za - przeznaczony dla młodzieżowej widowni - film „Cudowne dziecko”, Tadeusz Chmielewski za reżyserię „Wiernej rzeki” oraz Krzysztof Kieślowski za scenariusz „Przypadku”. „Brązowe Lwy Gdańskie” - za debiut kinowy otrzymał Waldemar Krzystek za film „W zawieszeniu”.

Nie będę tutaj wymieniał całego wachlarza różnych innych nagród, ponieważ pełny tekst werdyktu jury podała już wcześniej prasa codzienna. Warto tylko może przypomnieć, że najwyższą nagrodę za kreację aktorską przyznano Magdzie Teresie Wójcik, odtwórczyni głównej roli w „Matce Królów”, oraz Bogusławowi Lindzie - za role w „Przypadku” i „Magnacie”. I jeżeli można by mieć jakieś pretensje do jury, to jedynie z powodu nie dostrzeżenia szeregu naprawdę doskonałych kreacji, w rolach drugoplanowych. Henryka Bisty, którego postać przewijała się wciąż w tegorocznych festiwalowych filmach, osiągając swoje apogeum w „Między ustami a brzegiem pucharu” Zbigniewa Kuźmińskiego.

Te pochwały na temat wyjątkowo trafnego werdyktu jury nie oznaczają, niestety, że również sam tegoroczny festiwal był na najwyższym poziomie. Na dwadzieścia sześć zaprezentowanych w konkursie filmów kinowych i telewizyjnych zbyt mało przypadło dzieł naprawdę udatnie zrobionych. Z ośmiu pokazanych filmów telewizyjnych rzeczywiście udany był tylko jeden: „Sala nr 6” Krzysztofa Grubera. Zawiedli zarówno Feliks Falk swoim telewizyjnym „Nieproszonym gościem”, jak i Wiesław Saniewski, interesującym w zamierzeniu, ale bardzo nierównym „Wolnym strzelcem”. Zresztą do Saniewskiego trudno nawet mieć pretensję: jego film był debiutem reżyserskim, został nakręcony w 1981 r., (gdy twórca późniejszego doskonałego „Nadzoru” zdobywał dopiero pierwsze zawodowe szlify) i przeleżał następnie przez sześć lat „na półkach”. Pokazanie go obecnie w konkursie dało

niewątpliwie satysfakcję reżyserowi. Ale też „cofnęło” go niejako wobec jego późniejszych, o wiele bardziej dojrzałych filmów. Ja osobiście wolałbym obejrzeć „Wolnego strzelca” na jakimś przeglądzie retrospektywnym filmów Saniewskiego, jako pierwsze ogniwo w rozwoju artystycznym tego bardzo przeze mnie lubianego i cenionego twórcy.

Skądinąd „Wolny strzelec” należy do tej grupy filmów, które uratowały poziom tegorocznego festiwalu; były to zaś wszystko dotychczasowe „półkowniki” w liczbie aż pięciu(!) tytułów: „Matka Królów” Zaorskiego, „Niedzielne igraszki” Bolesta Glińskiego, „Przypadek” Kieślowskiego, „Wierna rzeka” Tadeusza Chmielewskiego i „Wolny strzelec”. Natomiast prawdziwym osiągnięciem polskiej produkcji filmowej z ostatnich dwunastu miesięcy wydają się jedynie - „Magnat” Bajona, debiut Waldemara Krzystka „W zawieszeniu” (z doskonałymi kreacjami aktorskimi Krystyny Jandy i Jerzego Radziwiłowicza) oraz „Życie wewnętrzne” Marka Kotarskiego. Niezwykle interesującej osobowości artystycznej. Człowieka wyznaczającego nowe ścieżki w polskim kinie, posługującego się językiem na w pół abstrakcyjnej, ponurej groteski dla pokazania - w tym bardzo ostry sposób – realiów naszego codziennego polskiego bytowania.

Do tych trzech filmów dorzuciłbym jeszcze - z zachowaniem jednak pewnego dystansu – „Pociąg do Hollywood” Radosława Piwowarskiego, obraz jakoś niedostrzeżony na festiwalu (jedynie grający w nim Jerzy Stuhr otrzymał nagrodę za najlepszą męską rolę drugoplanową), będący z pewnością, naprawdę zabawną komedią. Skądinąd od dobrych kilku tygodni ściera „Pociąg” do sal kinowych tłumy młodzieży.

Jeżeli zaś już mowa o frekwencji na polskich filmach, to chyba zapewni ją „Między ustami a brzegiem pucharu” Zbigniewa Kuźmińskiego. Film nakręcony - jak podkreślają jego twórcy – według powieści Marii Rodziewiczówny (i słusznie podkreślają, bo bez tego Rodziewiczówna pewnie by się w grobie przewróciła z nadmiaru wrażeń!). Ale o tym filmie – w stosownym miejscu...

Jeśli chodzi o filmy, jakie sprawiły mi (a chyba także i większości widzów uczestniczących w festiwalowych przeglądach) największy zawód, były to : „O rany, nic się nie stało!!!”, komedia rokującego dotychczas jak najlepsze nadzieje, młodego reżysera Waldemara Szarka, związanego ze Studium im. Karola Irzykowskiego; ambitna w zamierzeniu, ale niestety, zupełnie nieudana w realizacji „Maszkarada” Janusza Kijowskiego (jakże daleko „Maskaradzie” do świetnego „Indeksu” i wcześniejszego dokumentu „Z. K. Sieradz”!) oraz ciągnąca się w nieskończoność, w sumie nudna (mimo „ostrych” wtrętów rozbierankowo-erotycznych) „Śmierć Johna L.” Tomasza Zygadły, będąca zdecydowanym regresem wobec ubiegłorocznych „Scen dziecięcych z życia Prowincji” tego reżysera.

Co do telewizyjnego filmu Franciszka Trzeciaka „Ojcowizna” - wykładającego metodą „kawy na łąkę” konieczność pozostawiania chłopskich dzieci na wsi w celu

kontynuowania pracy i dorobku ich rodziców – to, mimo iż jak najbardziej się z reżyserem zgadzam w tej materii, i mimo nawet całego mojego lokalnego patriotyzmu (film był kręcony na Lubelszczyźnie, z udziałem wielu lubelskich aktorów), jeszcze raz utwierdziłem się w przekonaniu, że Trzeciak powinien grać w filmach, natomiast nigdy - kręcić filmy!

Żeby zakończyć te ogólne uwagi, warto może jeszcze zauważyć, że bardzo wielu twórców ostatnio powstałych filmów wydaje się szukać panaceum na przyciągnięcie publiczności do kin w mnożeniu scen „neglizowych” i coraz bardziej „śmiałych” scen erotycznych, co na przykład w „Łuku Erosa” (nomen-omen!) Jerzego Domaradzkiego niewątpliwie jakoś tam ożywia prawie dwugodzinną ekranową nudę tej filmowej transpozycji, znanej powieści „Łuk” Juliusza Kaden-Bandrowskiego, ale niestety, nie ratuje samego filmu.

W „pułkownikowej”, „Wiernej rzece” Chmielewskiego mamy natomiast stosowny „przerywnik” w postaci efektownego strip-tease’u panny Salomei obok zaimprovizowanego stołu operacyjnego, na którym przed chwilą chirurg wywojował z biodra kulę wyjącemu z bólu powstańcowi.

Z kolei w „Życiu wewnętrznym” bohater snuje sobie nocami takie marzenia senne, w różnych, tyleż efektownych, co skomplikowanych ekwilibrystycznie męsko-damskich układach, że podejrzewam, iż wysoka frekwencja młodzieży na tym filmie wynika wcale nie z jego ogólnego, ambitnego przesłania... Inna sprawa, że w „Życiu wewnętrznym” erotyka jest logicznie wkomponowana w pomysł, „ideologię” i całą w ogóle konstrukcję tego filmu, a nie stanowi przychepionej - jak gdzie indziej- nieraz na sile efektownej „przybudówki” do nijakiej „bazy”.

O tym, że można przez półtorej godziny trzymać w absolutnym napięciu widownię, zamykając akcję w czterech ścianach piwnicy, a ekipę aktorską ograniczając właściwie (przez większość filmu) do dwojga jedynie osób, ( „W zawieszeniu” to opowieść o ukrywającym się przez kilka lat w piwnicy zbiegłym z więzienia AK-owcu w okresie stalinowski, i ukrywającej go żonie) i że może to być równocześnie film polityczny, psychologiczny, lecz także „miłosny” (choć bez bezustannego zakładania nóg na żyrandol) – przekonał nas tak mało jeszcze doświadczony debiutant, jak Waldemar Krzystek.

Natomiast twórcy już obeznanemu z warszatem filmowym, jak reżyser Zbigniew Kuźmiński, wydawało się widocznie, że opowieść Marii Rodziewiczówny o szlachetnej polskiej pannie z wielkopolskiego dworu, skutecznie opierającej się zakusom pruskiego arystokraty (choć z matki Polski zrodzonego), która to bezkompromisowa postawa zaowocuje, w efekcie, nawróceniem się przystojnego, lecz pustego i zimnego bon-vivanta, kobieciarza i hulaki już nie tylko na żywot moralny, ale jeszcze w dodatku na polskość, że taka opowieść nikogo nie zainteresuje. Rozbudował więc niepomiernie – w stosunku do akcji

powieści Rodziewiczówny – wątek stosunków łączących Wentzela z piękną, lecz rozpustną żoną admirała, Aurorą. (Tu stosowne, mnogie sceny przyspieszające krążenie krwi!). Wprowadził również liczne sceny z mniej już „arystokratycznych” miłostek bohatera w berlińskich kabareto-szantach z końca ubiegłego stulecia. A żeby już nie zwałć wszystkich trudów miłosnych na barki Prusaczka dosypał jeszcze obficie pieprzu w wątku ognistego romansu Wentzela z piękną Polką, żoną jego plenipotentą.

Dalej – dzięki wyraźnie komediowemu ustawieniu roli kamerdynera Franza (zresztą doskonale zagranego przez Henryka Bistę) i w ogóle wprowadzeniu szeregu scen i wątków komediowych przydał Kuźmiński starej opowieści zawieszanej przez Rodziewiczównę „między ustami a brzegiem pucharu”, (czyli ostatecznym spełnieniem marzeń i dążeń bohatera książki) tak zwanej „lekkości” i „czarującej finezyjności”.

I w ten oto sposób cała historia, niegdyś z takim żarem i z taką pasją opowiedziana przez Rodziewiczównę, mówiąca o walce Polaków z zaboru pruskiego z konsekwentnym wynarodowianiem, jakoś straciła na swojej dawnej ostrości: stała się „sympatyczną” opowieścią o pewnym rozdokazywanym erotycznie sympatycznym młodzieńcu, który nad podziw szybko wyzbywa się swoich antypolskich uprzedzeń i zostaje, w związku z tym, przyjęty na łono polskiej rodziny. Czemu już tylko mogą ze łzami wzruszenia w oczach przyklasnąć radośnie zarówno Polacy, jak i Niemcy, w myśl staropolskiego zawołania: „kochajmy się!”.

Na plus Kuźmińskiemu trzeba zapisać, że film jest zrobiony z werwą, wyreżyserowany dynamicznie, efektownie, i jest w ogóle „ładny”. Co - jak mówiłem - może zapewnić mu masowa widowność. Tak, więc, jeżeli ekranowe dokonania wymierzałoby się tylko ilością złotych, Kuźmiński zapewne trafił w dziesiątkę.

Zupełnie inny ciężar gatunkowy charakteryzuje „Magnata” Filipa Bajona. Film również - jak „Między ustami a brzegiem pucharu” – sięgający w głąb historii, „kostiumowy”, i również dotyczący spraw i problemów polsko-niemieckich. Bajon sięgnął tutaj do historii książąt pszczyńskich von Pleussów, zmieniając zresztą w filmie ich nazwisko rodowe - dla zapewnienia sobie pewnych dowolności w fabule - na von Teuss.

Rozgrywająca się w okresie czterdziestu niespełna lat akcja „Magnata” (od roku 1900 do ostatniego okresu poprzedzającego wybuch II wojny światowej) to - w szerokim rozumieniu - opowieść o ludziach z pogranicza: polsko-niemieckiego pogranicza politycznego, historycznego, kulturowego. Centralną postacią filmu jest książę pszczyński Hans von Teuss, wielki arystokrata, właściciel tysięcy hektarów pól uprawnych i lasów, licznych kopalń i zakładów przemysłowych. Potomek trzynastowiecznych niemieckich krzyżowców i starych polskich książęcych śląskich rodów, uważa się książę za coś w rodzaju „ponadpaństwo”. Pana należących do niego „ziem i ludzi”, rządzącego nimi w dawny,

patriarchalny sposób. Jeden z synów księcia uważa się za Polaka, inny związany jest z kulturą niemiecką, jeszcze inny zgłasza akces, ku wielkiemu oburzeniu magnata, do rosnącej coraz bardziej w siłę hitlerowskiej NSDAP.

Dramaty rodziny von Teussów, często niezwykle skandaliczne (jak np. romans drugiej żony księcia z jego synem, z pierwszego małżeństwa, Bolkiem), rzucone są na szerokie tło miejscowych uwarunkowań społecznych (walka górników o swoje prawa), politycznych (powstanie śląskie w latach dwudziestych) i narodowościowych. Film Bajona, nakręcony z ogromnym dynamizmem, fotografowany w autentycznych wnętrzach pałacu w Pszczynie i doskonale zagrany przez czołówkę polskich aktorów (postać tytułowego magnata gra Jan Nowicki, role jego synów odtwarzają: Olgierd Łukaszewicz, Jan Englert i Bogusław Linda, postać drugiej żony księcia, Mariscy de Bodego, kreuje Grażyna Szapołowska), film ten, trwający trzy godziny (!), ogląda się prawie „jednym tchem”, nie zauważając mijającego czasu.

Niektórzy mieli do zarzucenia Bajonowi, że „Magnat” to jakieś naśladownictwo Viscontiego, iż jest w nim zbyt wiele z atmosfery „Zmierzchu bogów” itp. Ja osobiście uważam „Magnata” za film całkowicie autentyczny, wynikający z oryginalnej twórczej osobowości Filipa Bajona. Reżysera w pełni kreatywnego, oryginalnego, robiącego z roku na rok coraz lepsze filmy. „Magnat” jest dziełem o światowym oddechu, zasługującym w pełni na przyjęcie przez światową widownię.

Co więcej – jest „Magnat” filmem wychodzącym wysoko ponad dotychczasowe, stereotypowe jakże często widzenie wielu spraw z polsko-niemieckiego pogranicza. Gdyby nie „Matka królów” zasługiwałby na „Złote Lwy Gdańskie”.

Jeśli zaś chodzi o „Matkę Królów” to już od chwili zaprezentowania jej (w trzecim dniu festiwalu) na ekranie - nie było chyba dla nikogo wątpliwości, że otrzyma ona główną nagrodę.

Nakręcony w 1982 r. przez Janusza Zaorskiego film, który pięć, długich lat przeleżał na półkach ( od momentu napisania przez reżysera – scenariusza tego filmu po jego oficjalną premierę upłynęło aż piętnaście lat!), zyskał niezwykle gorące przyjęcie. Dlatego że jest to naprawdę film doskonały: świetnie wyreżyserowany zagrany, podejmujący niezwykle istotne problemy dotyczące naszej historii najnowszej. A najbardziej: dramatycznego okresu od końca lat czterdziestych do połowy lat pięćdziesiątych. Tego „okresu błędów i wypaczeń” – jak się zwykło w sposób dość „eufemiczny” go określać. Lat wielu tragedii ludzi zwyczajnych, jak i tych częstokroć z władzą związanych.

Nakręcone w oparciu o napisaną u początku drugiej połowy lat pięćdziesiątych znaną powieść Kazimierza Brandysa pod tym samym tytułem, jest dzieło Janusza Zaorskiego jakby filmowym dokumentem, przedstawiający losy (przedwojenne, okupacyjne i powojenne, aż po

Październik 1956 r.) robotnicy Łucji Król. Matki czterech synów, walczącej o przeżycie, o wychowanie swoich dzieci, a przez cały czas także - o zachowanie własnej, ludzkiej godności, o życie zgodne z zasadami moralnymi i etycznymi, jakie jej wpojono w dzieciństwie i w jakich ukształtowała się w młodości.

Jest równocześnie „Matka Królów” filmem o wypaczeniach władzy O okolicznościach i przesłankach prowadzących do jej zwyrodnienia: do takiego momentu, gdy już zarówno rządzeni, jak i rządzący zaczynają żyć w bezustannym uciemieniu i strachu. Coraz szybciej tocząca się lawina wzajemnej podejrzliwości, oskarżeń, nieufności, prowadzących do procesów o nieistniejące przewinienia, opartych na sfingowanych dokumentach i kłamliwych oskarżeniach, także nieprawdziwych samooskarżeń spowodowanych torturami psychicznymi i fizycznymi, rozsypie się nagle - w okresie Października 1956 r. Ale czy do końca wszystko zostało „oczyszczone”, czy nie istnieje niebezpieczeństwo odrodzenia się zła? - wydają się pytać twórcy filmu.

Film Zaorskiego został nakręcony na czarno-białej taśmie, w stylistyce filmowej połowy lat pięćdziesiątych, a doskonale wmontowane autentyczne zdjęcia z filmowych kronik z tamtego okresu podnoszą jeszcze skalę tonu jego przesłania.

Sukces kilku odnotowanych tutaj filmów nie stanowi, niestety, o korzystnym obrazie całokształtu obecnie tworzącego się polskiego kina.

I niestety, postawione na początku pytanie: dokąd zmierza polskie kino, pozostaje wciąż bez odpowiedzi.

Pierwodruk: „Kamena”, 1987, nr 21, s. 3,11.